

OD OFIARY ABLA DO OFIARY CHRYSTUSA I KOŚCIOŁA

1. OFIARA Z CIELCÓW, KOZŁÓW... I SKRUSZONEGO SERCA

Co prawda w Kościele powszechnym zakończył się już okres Bożego Narodzenia, ale my w Polsce kultywujemy jeszcze do 2 II tradycje związane z narodzinami Zbawiciela – stąd szopka... Kiedyś pewien katecheta zadał pytanie małym dzieciom: „Dlaczego pasterze uklękli w stajence?” Spodziewał się pobożnych odpowiedzi w stylu: „By oddać hołd, by uczcić Boga...” tymczasem usłyszał odpowiedź... bardzo praktyczną: uklękli, by lepiej widzieć Dzieciątka.

My też przyjechalśmy tutaj, by uklęknąć, bo z tej pozycji lepiej widać Jezusa. Dlatego chcemy w tych dniach poświęcić modlitwie więcej czasu niż zazwyczaj. Na kolanach bowiem lepiej widać prawdę: ci, którzy wędrują przez pustynię, mówią, że gdy na horyzoncie widzi się wodę, jest tylko jeden sposób, by rozpoznać, czy nie jest to tylko fatamorgana: przyklęknąć, by popatrzeć na to zjawisko tuż nad ziemią. Jeśli to fatamorgana, zniknie. Także w naszym życiu wszelkie złudzenia najłatwiej znikają, gdy trwamy na kolanach, w szczerym dialogu z Bogiem. Ja sama nieraz doświadczyłam, że w czasie rekolekcji zmienia mi się hierarchia ważności pewnych spraw: to, co najważniejsze, powraca na pierwsze miejsce.

Uklęknąć i zamilknąć, by usłyszeć Jego głos. Bo Bóg mówi cicho, On nie lubi przekrzykiwać hałasem. To dlatego tak ważne jest milczenie w tych dniach. Będziemy mówić o ofiarach, o darach składanych Bogu, ale może zacznijmy od tego bardzo prostego daru ofiarowanego Bogu i ludziom – innym uczestnikom naszych rekolekcji: nie przeszkadzajmy im w milczeniu, albo raczej: nie przeszkadzajmy Bogu, który chce mówić do nas i do nich. Kiedy ktoś zakłóca rekolekcyjną ciszę, Pan Bóg mógłby powiedzieć: „Miałem tyle do powiedzenia twojemu sąsiadowi, a przeszkodziłeś Mi”.

I nie chodzi tylko o zewnętrzne zamknięcie ust. Są ludzie, którzy zdają się bardzo milczący, a w swoim wnętrzu noszą prawdziwe targowisko: wspomnienia, dyskusje w wyimaginowanych rozmówcami, marzenia... Zostawmy na te trzy dni domowe troski, odłóżmy to wszystko, Bóg jest tu i teraz, On dziś chce do mnie mówić.

W dawnych wiekach podawano uczestnikom rekolekcji 3 dobre rady: *wejdz cały* (czyli nie tak, że jedna noga została w domu), *pozostań sam*, *wyjdź inny*. Bo tylko wtedy rekolekcje mają sens. Inaczej będzie tak jakbyśmy weszli pod prysznic w płaszczu przeciwdeszczowym. Jaki przyjechał – taki wyjechał.

Zatem wpatrujemy się w Chrystusa w milczeniu. Jest taki mądry ptak – sowa; niektórzy uważają ją za symbol kontemplatyków. Ktoś tak powiedział o niej: „Na drzewie usiadła stara sowa. Im bardziej milczała, tym więcej wiedziała, a im więcej wiedziała, tym bardziej milczała”. Bierzmy z niej przykład.

Przez trzy dni chcemy zajmować się słowem, które nie tylko jest bardzo niepopularne (w mowie potocznej jest używane w sensie wybitnie negatywnym: ofiara losu, ofiara wypadku), ale wręcz budzi odruch protestu, odrzucenia: ofiara. (Zresztą trzeba mieć dużo odwagi, albo raczej dużo miłości do Boga, by przyjechać na rekolekcje o ofierze!) Gdy słyszymy to słowo skierowane do siebie, mamy wrażenie, jakby ktoś chciał wyrwać nam jakąś cenną cząstkę, do której jesteśmy bardzo przywiązani. Bardzo nie lubimy oddawać, tracić, nawet wtedy, jeśli tą Osobą, której mamy oddać coś lub siebie, jest Ten, od którego otrzymaliśmy wszystko – nasz najlepszy Ojciec, Bóg.

Aby się o tym przekonać, posłużmy nam do tego mały test zaufania do Boga: jest to ta modlitwa, którą mamy przed sobą – akt ofiarowania się Bogu, ułożony przez K. de Foucauld. Co prawda dopiero na ostatniej konferencji będziemy mówić o ofierze Kościoła, o naszej ofierze, ale chciałabym zaproponować, byśmy w podczas tych dni (i także później) czytali ją wielokrotnie, byśmy „zmagali się” z tym tekstem, zwracając uwagę na wszelkie nasze opory. Nie oszukujmy się, że łatwo nam wypowiedzieć te słowa. Jeśli tak, to albo jesteśmy wielkimi świętymi, albo nie mówimy tych słów poważnie. Zatem podczas tych zmagania badajmy uważnie, których słów nie potrafię jeszcze wypowiedzieć szczerze? Które słowa budzą we mnie lęk – i dlaczego? Czego konkretnie nie chciałbym, nie umiałbym oddać Bogu, do jakiej sfery mojego życia nie chcę Go wpuścić? A może w ogóle czuję, że te słowa mnie całkowicie przerastają? Także o tym trzeba porozmawiać z Bogiem. Dlaczego wierzę, że On jest dobry, że mnie kocha, a boję się oddać Mu siebie? Miejmy nadzieję, że może po tych naszych rozważaniach pękną choć niektóre nasze opory.

**Ojcie
oddaję się Tobie.
Uczyń ze mną, co zechcesz.
Dziękuję Ci za wszystko,
cokolwiek ze mną uczynisz.
jestem gotów na wszystko
przyjmuję wszystko.**

**Niech Twoja wola spełnia się we mnie
i we wszystkich Twoich stworzeniach,
nie pragnę niczego innego, mój Boże.
Składam moją duszę w Twoje ręce.
oddaję Ci ją, Boże
z całą miłością mego serca.**

**Kocham Cię
i to jest potrzebą mojej miłości,
żeby się dawać,
oddawać się w Twoje ręce bez ograniczeń,
z nieskończoną ufnością,
bo Ty jesteś moim Ojcem.**

Bo tak naprawdę możemy właściwie zrozumieć sens ofiary, jeśli mamy prawdziwy obraz Boga – Boga – Miłości, Boga – kochającego Ojca, a nie policjanta śledzącego każdy mój ruch, by mnie ukarać. Niekiedy boimy się oddać siebie Bogu, bo obawiamy się, że zaraz spadnie na nas seria nieszczęść. Czy tak postępuje Ojciec? A czy powstrzymanie się przed tym ofiarowaniem uchroni nas przed cierpieniem w życiu? Bynajmniej! Cierpienie jest częścią ludzkiego życia, natomiast oddanie siebie bardzo pomoże nam lepiej przeżywać codzienne doświadczenia: wiem, w czyich jestem rękach; albo jak powiedziałby św. Paweł, wiem, komu zaufałem.

Prawdziwa ofiara nie wypływa z lęku, ale z wdzięczności, miłości i zachwytu, a z tego rodzi się pragnienie choćby minimalnego odwdzięczenia się, sprawienia radości Temu, od którego otrzymaliśmy tak wiele.

Ty bowiem utworzyłeś moje nerki, Ty utkałeś mnie w łonie mej matki. Dziękuję Ci, że mnie stworzyłeś tak cudownie, godne podziwu są Twoje dzieła. I dobrze znasz moją duszę (Ps 139)

Być może pierwsze pytanie, jakie się nam nasunęło, brzmi: „ale w ogóle dlaczego mam coś dać Bogu?” I tu dotykamy bardzo ważnej kwestii pewnej wartości, która chyba zwłaszcza w obecnych czasach przeżywa głęboki kryzys: wdzięczności. Dziś człowiekowi wszystko się należy: od rodziców, od państwa, a zwłaszcza należy się nam wszystko od Pana Boga: życie, zdrowie, powodzenie... Nawet u ludzi głęboko wierzących zanika to poczucie całkowitej zależności od Boga. I dlatego tak rzadko zadajemy sobie to pytanie, które stawia autor Ps 116:

Cóż oddam Panu za wszystko, co mi wyświadczył?

Bo co naprawdę może być godne tego, by być darem dla Boga? Cóż nie należy do Niego? *Cóż masz, czego byś nie otrzymał* – jak mówi św. Paweł.

Dlatego autor Ps 50 wkłada w usta Stwórcy takie słowa:

Do Mnie należy cała zwierzyna po lasach, tysiąc zwierząt na moich górach. Znam całe ptactwo powietrzne, i do Mnie należy to, co się porusza na polu. Gdybym był głodny, nie musiałbym tobie mówić, bo mój jest świat i to, co go napelnia. Czy będę jadł mięso cielców albo pił krew kozłów? (8n)

Skoro wszystko należy do Boga, to co może być należyty darem dla Niego? I tu już ludzie starożytni, nawet poganie, mieli genialną intuicję, którą jednak niekiedy wprowadzali w życie w bardzo drastyczny sposób: jedyną ofiarą godną Boga jest... człowiek. Dlatego bądźmy ostrożni, zanim zbyt lekko i łatwo skrytykujemy np. niektórych Indian za krwawe ofiary z ludzi. Jak powiedziałam, sposób realizacji był drastyczny, ale ci ludzie wyczuwali bardzo głęboką prawdę, która jeszcze nieraz powróci w czasie naszych rozważań: największym darem, jaki my, ludzie, możemy ofiarować Bogu z tego, co mamy, jesteśmy my sami, nasze życie, a wszelkie ofiary, wszelkie całopalenia ze zwierząt to jakby środek zastępczy.

To dlatego u starożytnych Kananejczyków czy Fenicjan składano ofiary z ludzi, często też z własnych dzieci. I proszę pozwolić, że choć tytuł naszych konferencji brzmi: „Od ofiary Abła..”, ja zacznę jednak – by powrócić też do Abła - od późniejszego wydarzenia: od ofiary, którą miał złożyć Abraham ze

swojego umiłowanego syna (Rdz 22). My najczęściej myślimy z przerażeniem, że Bóg musiał zdawać się Abrahamowi kimś okrutnym, skoro oczekiwał takiej ofiary, ale w świetle tego, co powiedzieliśmy, chyba jest jasne, że w tamtej kulturze składanie ofiary z własnego dziecka nie było niczym aż tak nadzwyczajnym, co jednak, rzecz jasna, nie zmienia faktu, jak wielkim dramatem musiała być dla ojca śmierć ukochanego dziecka. Słusznie zauważono, że Izaak miał być ofiarowany właśnie dlatego, że ojciec go kochał – bo jak powiedzieliśmy, Bogu nie daje się byle czego, odpadków, na których nam nie zależy – to byłoby zbyt łatwe. Ktoś tak pięknie zauważył, że każdy z nas ma swojego Izaaka, którego nie ma ochoty oddać Bogu. I tu warto zadać sobie pytanie: co jest moim Izaakiem? Co jest tą sferą mojego życia, którą tak bardzo kocham, że wolę, żeby Bóg do niej nie zaglądał, bo jeszcze gotów poprosić o ten dar (nie wiem, czy by poprosił, ale na wszelki wypadek Go ni wpuszczam). Nie, Abraham nie miał zastrzeżonej strefy, nawet ukochanego syna, ale w tym przypadku nie chodziło tylko o ból serca ojca, który ma stracić ukochane dziecko.

Coś innego musiało również spowodować wielki zamęt w duszy Abrahama: zdaje się, jakby Bóg przeczył własnym słowom, własnej obietnicy – obiecał, że z Izaaka będzie potomstwo, a teraz każe go zabić. Ktoś użył ciekawego obrazu: tak jakby Bóg kazał Abrahamowi iść po linie, a następnie podpalił jej drugi koniec.

Abraham zabiera Izaaka, który nieświadom niczego sam niesie drwa na ołtarz ofiarny (jak Chrystus niosący krzyż). Izaak zadaje pytanie: „a gdzie jest ofiara?”, na co ojciec daje wymijającą odpowiedź: „Bóg sam się zatroszczy”, nawet nie wiedząc, jak bardzo prawdziwe okażą te słowa...

Już opuścił swoją ojczyznę, miasto, rodzinny kraj, teraz miał wyrzec się tego, co najdroższe jego sercu – ukochanego syna... już wyszedł z ziemi, teraz miał wyjść z serca. B. Forte: Abraham kocha Boga bardziej niż obietnice Boga, kocha Go za to, że jest, a nie za to, że obiecał mu wielkie potomstwo. Kocha Boga bardziej niż najpiękniejszy Boży dar, jakim był Izaak (czasem można tak zachwycić się darem, że zapomina się o darczyńcy).

Nie wiemy, co działo się w duszy Abrahama; wiemy tylko tyle, że nie zachwiał się, tak bardzo wierzył Bogu, że wiedział, iż Jego Słowo musi się spełnić, choć wydaje się przeczyć wszelkiej logice. Hbr 11,17– „*Pomyślał bowiem, że Bóg mocen jest wskrzesić także umarłych i dlatego odzyskał go na podobieństwo (śmierci i zmartwychwstania Chrystusa)* – według autora Hbr Abraham był przekonany, że Bóg wskrzesi zabitego Izaaka, by spełnić obietnice z nim związane.

Bóg jednak znalazł inne rozwiązanie – zamiast syna, kazał Abrahamowi zabić baranka uwikłanego w zarośla.

Chrześcijańska tradycja mówiła, że gdy Izaak leżał związany, zobaczył baranka, symbol tego, który miał nadejść, stać się Barankiem. My wiemy, że Bóg „sam zatroszczył się o ofiarę”.

Być może przodkowie Abrahama składali ofiary z ludzi, ale gdy on spotkał prawdziwego Boga, taka ofiara zostaje zastąpiona ofiarą wiary i posłuszeństwa.

Bóg nie chciał śmierci Izaaka; oczekiwał heroicznej miłości, heroicznego posłuszeństwa od Abrahama. Ta scena z Abrahamem wskazuje nam też na prawdę, do której będą nawiązywać inne teksty biblijne: Bóg nie chce krwawych ofiar z ludzi.

Mówi nam o tym również dramatyczna historia Jeftego, jednego z bohaterów Księgi Sędziów (11,29n). Jefte wraca do domu po zwycięskiej bitwie i wie, że zwyciężył jedynie dzięki Bożej pomocy, dlatego chce okazać Bogu swoją wdzięczność i składa zdumiewający ślub: złoży Bogu w ofierze pierwszą osobę, która wyjdzie mu na spotkanie, gdy będzie wracał do domu. Pech chciał, że tą pierwszą osobą była jego ukochana córka. Jak powiedziałam, te dwa opowiadania biblijne sugerują nam dyskretnie to, co inne teksty biblijne o charakterze prawniczym stwierdzą bardzo wyraźnie: nie wolno zabijać ludzi w ofierze; te ofiary praktykowane przez inne narody, jak mówiliśmy, zostały surowo zakazane w Izraelu. Dla Boga miłą ofiarą nie jest śmierć, ale dobre życie człowieka. Św. Ireneusz powie: „Chwałą Boga jest człowiek żyjący”.

Dlatego składano w ofierze inne dobra: zwierzęta, płody ziemi, kadzidło, później też pieniądze. Różne też były powody składania ofiar: składano ofiary przebłagalne za grzech, ofiary dziękczynne, ofiary na oczyszczenie w przypadku zaciągnięcia nieczystości rytualnej... Ale zawsze obowiązywała zasada: Bogu daje się to, co najlepsze. Zwierzę musi być zdrowe, bez skazy. Bogu nie daje się śmieci, strzępów.

Takie dobre ofiary składają też Bogu pierwsi bracia w dziejach ludzkości: Kain i Abel. My czasem próbujemy uprościć tę historię: Abel złożył Bogu wspaniałą ofiarę, a Kain ofiarował byle co, więc nic dziwnego, że Bóg tego nie przyjął. Tymczasem tekst biblijny bynajmniej nie sugeruje, że Kain przyniósł marną ofiarę: *Gdy po jakimś czasie Kain składał Panu w ofierze płody roli, również Abel składał pierwociny z drobnego bydła i z jego tłuszczu.* To nie jakoś ofiary była przyczyną nieprzyjęcia ofiary, ale – przynajmniej tak to interpretowała późniejsza tradycja – jakoś serca ofiarodawcy.

Boga nie da się oszukać ani przekupić, nie można Mu „zamydląć oczu” ofiarami, gdy w sercu kryje się zło. Zauważmy, jak często i w naszych czasach czai się w nas takie rozumienie pobożności: to nic, że oszukuję, że nie żyję w zgodzie z rodziną, ufunduję coś dla kościoła i z Panem Bogiem będę kwita.

Tymczasem już przez proroków Pan Bóg krytykował czysto formalny kult, bez odpowiedniej postawy wewnętrznej:

«Co mi po mnóstwie waszych ofiar? - mówi Pan. (...). Krew wołów i baranów, i kozłów mi obrzydła. Gdy przychodzicie, by stanąć przede Mną, kto tego żądał od was, żebyście wydeptywali me dziedzicze? Przestańcie składania czczych ofiar! (...) Ręce wasze pełne są krwi. Obmyjcie się, czyści bądźcie! Usuńcie zło uczynków waszych sprzed moich oczu! (Iz 1)

Miłości pragnę, nie krwawej ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń. (Oz 6,6)

Spróbujmy jednak spojrzeć na ofiary ST nie tyle po to, by dokładnie omawiać wszystkie ich rodzaje, bo nie czas na to i miejsce, ale by uchwycić ich duchowy sens, który może i nas wiele nauczyć. Jak powiedzieliśmy, ludzie ST, żyjący w środowisku najpierw pasterskim, a później rolniczym, składali Bogu to, co mieli najcenniejsze: płody ziemi, zwierzęta, kadzidło, później też pieniądze. Różne były sposoby składania ofiary, chciałabym zwrócić uwagę na tylko dwa

Najbardziej radykalnym sposobem były tak zwane

ofiary całopalne – gdzie całe zwierzę spalano na ołtarzu. Można by pytać: po co? Ile czasu trzeba było pracować, by kupić cielę, a teraz całe zwierzę ma zostać zniszczone? Rozumiemy, że trzeba oddać coś Bogu, ale po co spalić? Otóż człowiek Biblii myślał bardzo praktycznie: ja jestem na ziemi, a Bóg jest w niebie; jak „przetransportować” moją ofiarę do Boga? Jedynym znanym sposobem wzniesienia czegoś ku niebu był... dym. Jeśli przy spalaniu ofiary dym wznosił się ku niebu, uznawano, że Bóg przyjął ofiarę, że była to – jak mówiono – „miła woń dla Niego”.

Z tym, że nawet ogień spalający ofiarę nie mógł być „zwyczajnym” ogniem. Księgi ST opisują, że podczas inauguracji kultu w Izraelu, podobnie jak przy poświęceniu świątyni jerozolimskiej *ogień zstąpił z nieba i strawił* ofiarę i ten ogień nieustannie podsycano na ołtarzu, bardzo uważając, by nigdy nie zgasł. To też ukazuje nam ważną prawdę: to Bóg uzdalnia człowieka do złożenia daru, bo nasze ludzkie ofiary jakże często są zmieszane z naszym egoizmem, interesownością... Człowiek może jedynie przedstawić swój dar, ale tylko ogień z nieba może ją uczynić świętą i przenieść przed Boga.

I tu, zwłaszcza że jesteśmy w Czernej, w karmelitańskim sanktuarium, nie sposób nie wspomnieć o tym niezwykłym zdarzeniu, jakie miało niegdyś miejsce na Górze Karmel. Oto w czasach proroka Eliasza szerzył się kult pogańskiego bożka Baala. Prorok postanowił rozwiązać problem w sposób zdecydowany: wezwał na górę Karmel 450 proroków Baala i rzucił im wyzwanie: niech uproszą u Baala, by ogień z nieba zstąpił na przygotowaną przez nich ofiarę, a następnie Eliasz poprosi Boga, by ogień zstąpił na jego ofiarę (1 Krl 18,20nn). Na próżno prorocy Baala wnoszą błagania, a nawet kaleczą się, by pobudzić swoje bóstwo do działania; natomiast gdy Eliasz prosi Boga, ogień zaraz zstępuje na jego ofiarę. Zauważmy, że nikomu nie przyszło do głowy, by samemu podpalić ofiarę: musiał to uczynić ogień z nieba.

Mówimy o ofiarach całopalnych - to całopalenie miało też dodatkowy sens: przez zniszczenie dar miał charakter nieodwołalny, ofiara zostaje definitywnie wyłączona z codziennego użytku (w niektórych religiach rozbijano naczynia służące do ofiar płynnych – por. namaszczenie w Betanii – nieodwołalny dar. Dla starożytnych zniszczenie było jedynym sposobem przeniesienia ofiary w świat niewidzialny, wzniesienia jej ku Bogu (dalej zobaczymy, jak ten dziwny szczegół ze zwyczajów ST jest ważny dla naszego życia).

Ale nie każda ofiara oznaczała spalenie całego zwierzęcia: pewien rodzaj ofiar był też jakąś formą wejścia w łączność z Bogiem – tzw. **ofiara biesiadna**: część była ofiarowana Bogu, część spożywali ludzie. Przy ofiarach biesiadnych tłuszcz spalano dla Boga, a krew wylewano na podstawę ołtarza (uważano, że we krwi jest życie, a tłuszcz – najbogatsza część), pierś i prawa łopatka dla kapłana, reszta dla ofiarnika i jego gości. W ten sposób niejako człowiek mógł zasiąść do stołu z Bogiem, karmić się tym samym zwierzęciem, którego część stała się wonnością miłą Bogu. W jakiejś mierze każdy Izraelita mógł uczestniczyć niewidzialnie w tym niezwykłym przywileju Mojżesza i starszych na górze Synaj: *jedli i pili w obecności Pana*. Upłynie trochę wieków, a Bóg tak całkowicie realnie zasiądzie z ludźmi do stołu, by dać im do spożycia swoje Ciało i Krew.

Powróćmy jednak do ofiar ST. Wspomniałam o wylewaniu krwi na podstawę ołtarza: ten gest był szczególnie ważny w przypadku ofiar przebłagalnych za grzechy: wylewano krew, by oczyściła lud z grzechów i by była znakiem jedności pomiędzy Bogiem a ludem.

Bo ofiara przypominała też o tym, że przez grzech człowiek staje się niewypłacalnym dłużnikiem Boga, więc przynosi choć tyle, ile może, to zwierzę, by pokazać, że szczerze zależy mu na naprawieniu zerwanej relacji.

Warto podkreślić jeszcze inny aspekt: składanie ofiar bardzo łączyło Izraelitów ze sobą – szczególnie było to widoczne podczas wspomnianych ofiar biesiadnych, gdy ofiarodawca zapraszał na ucztę swoich gości; ale też każda ofiara miała ten wymiar jednoczący, bo była jakby swoistym odnowieniem przymierza między Bogiem a ludem. Bóg i lud na nowo nawiązują więź ze sobą!

Trzeba też wspomnieć też o innym bardzo ważnym prawie dotyczącym ofiar. Otóż kiedy Pan Bóg wyprowadził Izraelitów z Egiptu, w tę noc, gdy zginęli pierworodni synowie Egipcjan (a Izraelici ocalili dzięki krwi baranka), zobowiązał swój lud, by na pamiątkę tego wydarzenia składano w ofierze to, co pierworodne – pierwsze płody ziemi, tzw. pierwociny, pierworodne potomstwo wielu gatunków zwierząt domowych... Zaraz rodzi się pytanie: a co z ludźmi? oczywiście, jak powiedzieliśmy, pierworodnych synów nie zabijano, ale wielu uważa, że być może w najdawniejszych czasach, jeszcze przed wybraniem przez Boga pokolenia Lewiego, pierworodni synowie zajmowali się kultem; natomiast wraz z wyborem rodu kapłańskiego zaczyna się ciekawy zwyczaj, o którym mówi Księga Liczb: jeśli rodzi się pierworodny syn w rodzinie nie należącej do rodu kapłańskiego, rodzice mają go wykupić, wpłacając do świątyni 5 srebrnych sykli. Nie oznacza to bynajmniej jakiegoś targowania się z Panem Bogiem (pieniądze zamiast syna), bo jak powiedzieliśmy, odtąd kultem zajmuje się liczny ród Lewiego, natomiast przez ten gest zapłaty rodzice przyznają, że ich dziecko jako pierworodne powinno należeć do Boga.

Starożytni uważali bowiem, że to, co pierwsze wychodzi z łona matki, jest najlepsze i szczególnie błogosławione, więc trzeba to ofiarować Bogu, bo w ten sposób będzie jakby poświęcone całe dalsze potomstwo. Ale popatrzmy na ten przepis z innej strony: rodzi się pierwsze potomstwo... a jaką mamy gwarancję, że to pierwsze nie będzie równocześnie ostatnim? Ale to nic, to, co pierwsze, co najlepsze, należy do Boga.

I to jest prawda, nad którą trzeba się dziś zatrzymać. Bowiem mogłoby się wydawać, że przypominanie tych dawnych, nieaktualnych zwyczajów nie ma dziś sensu. Tymczasem można z nich zaczerpnąć wiele aktualnych wskazówek. Warto np. zadać sobie pytanie: co ja daję Panu Bogu z mojego życia: my oczywiście nie dajemy cielców czy kozłów; najczęstszym darem, jaki ofiarujemy Bogu, jest nasz czas. I tu rodzi się pytanie o jakość tego czasu: czy nie są to strzępy dnia, strzępy życia... Jaki czas poświęcam na modlitwę: ten dobry, gdy jesteśmy wypoczęci, czy też te ostatnie chwile, gdy zmęczenie nie pozwala nawet zebrać myśli.

Pewien profesor przyniósł studentom duży słoik, a w oddzielnym pudełku przyniósł piasek i różne kamienie: małe, średnie i duże. Studenci mieli umieścić wszystko w słoiku. Udało się tylko tym, którzy zaczęli od dużych kamieni: piasek i kamyczki jakoś ułożyły się obok nich. Podobnie jest w naszym życiu: jeśli na pierwszym miejscu jest to, co najważniejsze, znajdzie się miejsce na drobne sprawy; ale jeśli zaczniemy od drobiazgów, braknie miejsca na to, co istotne, a w efekcie będziemy wciąż odczuwać frustrację.

Następne pytanie o czas dla Boga: niedziela – dzień Pański, dzień, który mam ofiarować Panu, przeżyć go z Nim i dla Niego – czy rzeczywiście jest dniem Pańskim, czy też jest zapychany nie załatwionymi sprawami z całego tygodnia, z zakupami na czele... Nie, niekoniecznie musimy spędzać ten dzień z modlitewnikiem w ręku, ale jest ważne, by w tym dniu uświadomić sobie, kto naprawdę kieruje losami świata i od kogo zależy mój czas.

Ktoś tak pięknie powiedział, że przez sześć dni tygodnia człowiek pracuje, spełniając funkcję wicekróla, namiestnika Boga na ziemi, ale siódmego dnia człowiek składa swoją królewską koronę u stóp Stwórcy. Dlatego niedziela ma być dniem radosnym, chodzi o to, by ucieszyć się z dzieł Boga, także z tych dzieł dokonanych przez Niego w moim życiu w tym minionym tygodniu. To nie przypadek, że centralnym punktem niedzieli jest Eucharystia – dziękczynienie. Jeśli wiem, za ile dóbr jestem winna wdzięczność Bogu, nie będzie wielkim problemem ofiarowanie Mu mojego czasu, ale jeśli ciągle omijam Boga jak wielkiego Nieznajomego, dzień świąteczny może się wydawać czasem wielkiej nudy.

Warto więc zadać sobie pytanie o jakość tego, co dajemy Bogu – naszego czasu, naszej modlitwy... Zresztą to pytanie o jakość pojawiało się także w czasach ST, bo także ludzie tamtych czasów niekoniecznie ofiarowywali Bogu dobra najwyższej jakości:

Gdy przynosicie ślepe [zwierzę] na ofiarę, czyż nie jest to rzeczą złą? Albo gdy przynosicie chrome i chore, czyż to nic złego? Ofiarujże to twemu namiestnikowi! - czy będzie mu miłe i czy życzliwie cię przyjmie? - mówi Pan Zastępów. (Ml 1,7-9)

Nie przyniesiemy marnego daru namiestnikowi, bo zaraz zobaczymy jego reakcję, natomiast reakcji Boga nie widzimy, stąd tak łatwo tłumaczymy się z nędznej jakości tego, co Mu oddajemy.

Dlatego Pismo Święte wielokrotnie ostrzega przed niebezpieczeństwem skupiania się na kulcie ofiarniczym, pomijając aspekt moralny własnego życia; co więcej, w niektórych tekstach wskazuje się wyraźnie na wyższość ofiar duchowych nad ofiarami ze zwierząt, czy wręcz stwierdza się, że te ostatnie nie mogą ucieszyć Boga.

Ta myśl okazuje się szczególnie cenna w czasach wygnania babilońskiego i zaraz po nim, gdy jedyne miejsce składania ofiar - świątynia jerozolimska leżała w gruzach. Gdzie więc teraz złożymy Bogu ofiarę? I oto genialna odpowiedź: nie złożymy Mu ofiary z cielców i kozłów, ale złożymy ofiarę naszych warg, ofiarę uwielbienia, a przede wszystkim dar skruszonego, nawróconego serca.

Ps 69,31 Pieśnią chcę chwalić imię Boga i dziękczynieniem Go wysławiać. Milsze to Bogu niżli bawół, niż cielec, co ma [już] rogi i racice.

Ps 51,18 (Miserere) Ty się bowiem nie radujesz ofiarą i nie chcesz całopaleń, choćbym je dawał. Moją ofiarą, Boże, duch skruszony, nie gardzisz, Boże, sercem pokornym i skruszonym.

Zatem ofiarą szczególnie zalecaną przez psalmistów jest uwielbienie Boga i nawrócenie serca.

Również prorok Micheasz dzieli się z nami podobną myślą:

«Z czym stanę przed Panem, i pokłonię się Bogu wysokiemu? Czy stanę przed Nim z ofiarą całopalną, z cieleciami rocznymi? Czy Pan się zadowoli tysiącami baranów, miriadami potoków oliwy? Czy trzeba, bym wydał pierworodnego mego za mój występki, owoc łona mego za grzech mojej duszy? Powiedziano ci, człowiecze, co jest dobre. I czegoż żąda Pan od ciebie, jeśli nie pełnienia sprawiedliwości, umiłowania życzliwości i pokornego obcowania z Bogiem twoim?» (Mi 6,6-8)

Bóg nie chce być kontrahentem biznesowym, ale Ojcem i Przyjacielem, a przyjaźń to wzajemne obdarowanie. Te starotestamentalne ofiary – z cielców, kozłów..., na które dziś może patrzymy z pewną pobłażliwością, w rzeczywistości uczyły Izraelitów sztuki dawania. Skoro Bóg nam daje tak wiele, co możemy dać Mu w zamian?

A my dzisiaj co możemy dać Mu w zamian za to, że dał nam swego Syna? *Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał...* Ale o tym będziemy mówić w następnej konferencji.

2. DAR ŻYCIA SYNA

W poprzedniej konferencji zwróciliśmy uwagę na to, że ST zna też inny rodzaj ofiar niż ofiary materialne: człowiek może złożyć ofiarę uwielbienia, ofiarę serca...

Tę piękną myśl o innym rodzaju ofiar najlepiej wyraził autor Ps 40:

Nie chciałeś ofiary krwawej ani z płodów ziemi, lecz otworzyłeś mi uszy; całopalenia i ofiary za grzech nie żądałeś. Wtedy powiedziałem: «Oto przychodzę; w zwoju księgi o mnie napisano: Jest moją radością, mój Boże, czynić Twoją wolę, a Prawo Twoje mieszka w moim wnętrzu»

Otworzyłeś mi uszy – dosłownie można by przetłumaczyć „wydrążyłeś”. W j. hebrajskim używa się tego samego słowa na określenie słuchania i bycia posłusznym. Zatem Bóg nie chciał ofiar od psalmisty, ale uzdolnił go do posłuszeństwa – i oto psalmista odpowiada słynnym: „Oto przychodzę, oto jestem” – gotowy na rozkazy. Ale gdzie je znajdę? Skąd poznam Twoją wolę? Odpowiedź brzmi: W zwoju księgi napisano O MNIE. Odpowiedź znajdę w zwoju Księgi – czyli w Księdze Pisma Świętego. Tam odczytam, jaka jest Twoja wola, czego oczekujesz ode mnie. O. Cencini tak pięknie mówił o rozważaniu Pisma św.: wtedy rozważamy je dobrze, gdy słyszymy, że w zwoju księgi O MNIE jest napisane – nie tylko o tym, co mają robić apostołowie, nie o tym, co ma robić mój sąsiad, ale co ja mam robić i kim jestem w oczach Boga.

Znajdujemy też inną bardzo ważną uwagę: *moją radością jest pełnić Twoją wolę*. Ta wola nie zawsze jest łatwa do spełniania, czasem to spełnianie jest bolesne, ale jest radością, bo to jest Twoja wola, a ja ją odczuwam jako mieszkającą w moim wnętrzu, jakby była moją częścią, a nie czymś narzuconym z zewnątrz, do czego muszę się na siłę dostosować. Gdy się kogoś kocha, nawet bardzo trudne rzeczy zrobione dla ukochanej osoby są bez porównania łatwiejsze, niż gdy robimy je dla kogoś, kto jest nam obojętny.

Autor Listu do Hebrajczyków – przenosimy się w czasy NT! – czyni rzecz genialną: wkłada te słowa Ps 40, które właśnie czytaliśmy, w usta Chrystusa przychodzącego na świat, wprowadzając pewną małą modyfikację (idzie tu częściowo po linii LXX): *Nie chciałeś ofiary krwawej ani z płodów ziemi, lecz utworzyłeś mi ciało*. Aby spełnić wolę Ojca, aby spełnić swoje zbawcze dzieło na ziemi, a przede wszystkim by nas zbawić przez krzyż i zmartwychwstanie, Syn Boży potrzebował ludzkiego ciała. A zatem ciało było dla niego miejscem pełnienia woli Bożej: potrzebował nóg by chodzić po ziemi, rąk by pomagać potrzebującym... Jakie to ważne, bo chyba nieraz zauważamy, że pewne nurty duchowości zdają się jakby z góry potępiać ludzką cielesność (oczywiście, co innego, jeśli użyjemy słowa „ciało” w sensie symbolicznym jako określenie tego, co w człowieku słabe i złe, ale samo ciało jako takie jest fundamentem człowieczeństwa i jest stworzone przez Boga, a więc piękne i dobre).

Jezus przychodzi, by w swoim ciele wypełnić Pismo: to do Niego w szczególny sposób odnoszą się słowa „w zwoju księgi o Mnie napisano”... bo przecież tyle tekstów ST mówiło właśnie o Nim (nawet jeśli ich autorzy niekoniecznie musieli być tego świadomi!) On przychodzi, by wypełnić wolę Ojca, by wypełnić Pisma, by tam, gdzie przez wieki ludzkość mówiła „Nie!”, teraz wreszcie ktoś powiedział wielkie TAK. To dlatego św. Mateusz wielokrotnie będzie powtarzał w swej ewangelii: „stało się to, aby się wypełniło Pismo, które mówi...”, a Jezus powstrzyma ucznia, który w Ogrójcu będzie chciał bronić Go przed aresztowaniem – „Jakże się spełnią pisma...?”

Jezus nie przychodzi na świat tylko po to, by umrzeć, on przychodzi po to, by pięknie żyć, by wreszcie na tym świecie ktoś okazał Ojcu najdoskonalszą miłość wyrażającą się w absolutnym posłuszeństwie – *Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba*.

Zatem gdy patrzymy nie tylko na mękę Chrystusa, ale i na całe Jego życie jako na doskonałą ofiarę złożoną Ojcu, pamiętajmy, że jedynym kluczem do zrozumienia tej prawdy jest miłość. Jezus nie wchodzi na drogę Męki w duchu zgorzkniałej rezygnacji, ale w duchu miłości. Przyznam, że zawsze zachwycają mnie słowa wypowiedziane przez Jezusa w wieczniku. Jezus wie, co się stanie za parę godzin, ale wyraża to tymi słowami do uczniów: *Ale niech świat się dowie, że Ja miłuję Ojca... Wstańcie, chodźmy!* (J 14,31) Patrząc na Krzyż, świat najlepiej zrozumie, że Syn miłuje Ojca.

I tu warto dotknąć problemu miłości Boga. Nam się czasem wydaje, że miłość jest wielka, gdy głaszcze i usuwa kłody spod nóg. Tymczasem chyba wszyscy zgadzamy się, że największa miłość, jaka istnieje, to miłość między Osobami Boskimi. I właśnie największa miłość mówi do Syna: oddaj swoje życie

za ludzi. Dlaczego to podkreślam? Bo my jesteśmy ogarnięci tą samą miłością: *i żeś Ty ich umiłował, tak jak Mnie umiłowałaś (J 17,23)*. Podobnie Jezus mówi nam:

Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Trwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości (J 15,9). Jesteśmy więc ogarnięci tą samą miłością i słyszymy to samo przykazanie. Dlatego Syn nam poleca *abyście się wzajemnie miłowali, jak Ja was umiłowałem. Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich (J 15,12n)*. Niekoniecznie musi to być dosłownie śmierć: czasem trudniej jest żyć dla innych niż umrzeć za nich.

Syn trwa w miłości Ojca, bo cały jest skierowany ku Niemu (w Prologu Ewangelii św. Jana czytamy: *Słowo było u Boga* – a dosłownie w tekście greckim: było zwrócone ku Bogu – w dynamicznej relacji, w zachwycie miłości. Tak, Syn zachwyca się Ojcem i Jego wolą.

Bardzo lubię pewną scenę, którą opisuje św. Łukasz: gdy Jezus zauważył, że to nie mędrcy, ale maluczcy poznają Boże tajemnice, *rozradował się w Duchu Świętym i rzekł: „Wysławiam Cię, Ojcze... takie było Twoje upodobanie*. Jezus zachwyca się wolą Ojca, cieszy się Jego zrządzeniem. Dlatego aby „wejść w ducha” Jezusa, trzeba doświadczyć czegoś z tego zachwyty Ojcem. Czytając Pismo Święte, trzeba umieć powiedzieć: „Ojcze, jakie to piękne, jak mądrze to ułożyłeś!” Bowiem z tego zachwyty łatwiej może zrodzić się prawdziwy dar miłości, który nie będzie ponurym cierpiętnictwem. Św. Paweł powie, że radosnego dawcę Bóg miłuje.

Jezus kochał Ojca i nas (gdyby nas nie kochał, nie ustanowiłby Eucharystii). W J 17 znajdujemy niezwykłą modlitwę Jezusa: Syn rozmawia z Ojcem o nas, tak, również o nas, którzy tu jesteśmy (*nie tylko za nimi (Apostołami) proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie*). Jezus otrzymał nas od Ojca, a w tej modlitwie powierza nas Ojcu, prosząc za nami. Tę modlitwę nazywamy Modlitwą Arcykapłańską, bo Jezus mówi w niej: *Za nich Ja [poświęcam w ofierze samego siebie, aby i oni byli uświęceni w prawdzie (J 17,18n)*. Tak, Jego śmierć będzie prawdziwą ofiarą; podobnie powie też św. Paweł: *Chrystus nas umiłował i samego siebie wydał za nas w ofierze i dani na woń miłą Bogu (Ef 5,2)*. Oto ofiara przewyższająca wszelkie dawne ofiary: dawny arcykapłan ani nie był zdolny do takiego daru, ani godny, bo ofiara miła Bogu musiała być bez skazy, ponadto arcykapłan, będąc grzesznikiem, nie miał takiej mocy miłości, by ofiarować siebie Bogu.

Mówimy o modlitwie arcykapłańskiej, a przecież Chrystus nie był kapłanem według Prawa Mojżeszowego i nie mógł nim być, gdyż pochodził z królewskiego rodu Dawida, podczas gdy kapłani pochodzili z rodu Aarona.

Jezus co prawda nie nazywa siebie kapłanem, ale ma pełną świadomość, że dar Jego życia jest ofiarą, jest aktem kapłańskim. Wspomnieliśmy już o stwierdzeniu *poświęcam w ofierze samego siebie*; podobny sens mają wyrażenia: *ciało za was wydane... krew wylana na odpuszczenie grzechów*.

Ale czy ktoś, kto nie należy do rodu kapłańskiego, może w ogóle być kapłanem? Autor Hbr znajduje genialną odpowiedź w Psalmie 110, ukazującym wyjątkowego króla, opisanego w taki sposób, jaki nie zrealizował się w żadnym dotychczasowym władcy, a więc musiał zrealizować się w oczekiwanym Mesjaszu (Słowo musi się spełnić!). W tym Psalmie czytamy: *Ty jesteś kapłanem na wieki na wzór Melchizedeka*. Melchizedek, postać z czasów Abrahama, był równocześnie królem i kapłanem – a zatem Mesjasz połączy w sobie te dwie godności. I Jezus jest prawdziwym kapłanem, świętym i jedynym, a Jego kapłaństwo kładzie kres kapłaństwu czasów ST.

Ten wyjątkowy Król – Kapłan złożył wyjątkową ofiarę. Przeciętnemu człowiekowi żyjącemu w czasach Chrystusa było trudno przyjąć, że Jego śmierć była ofiarą – ona była raczej odwrotnością, nie miała żadnego charakteru rytualnego, była wykonaniem wyroku śmierci, a kara jest odwrotnością ofiary. Ktoś skazany prawomocnym wyrokiem rzadko jest niewinnym męczennikiem, co więcej, Pwt 21,23 stwierdzała, że powieszony na drzewie jest przeklęty. A Jezus czyni z tej tragicznej, haniebnej sytuacji okazję do okazania najwyższej miłości.

Jezus chce naprawić to, co my, ludzie, psujemy począwszy od Adama. On przychodzi, by uleczyć tę wielką niezaleczoną ranę grzechu, by pojednać ludzi z Ojcem. Co prawda jak mówiliśmy, w czasach ST składano wiele ofiar przebłagalnych za grzech, niemniej – jak zauważy autor Hbr, gdyby te ofiary z cielców i kozłów mogły definitywnie rozwiązać problem grzechu, gdyby krew zwierzęcia wystarczyła do zmycia zła, po cóż składano by je ciągle na nowo!

Nawiasem mówiąc, gdy mówimy o pojednaniu ludzi z Bogiem, nie wyobrażajmy sobie czasów ST jako czasów obrazonego Boga, który odwraca się naburmuszony od ludzkości (taką wizję sugerują nam nawet pobożne teksty: gdy wśród przekleństwa od Boga czart panował...) – oczywiście, przez grzech

człowiek pozbawił się udziału w życiu Bożym, w życiu łaski, ale przecież gdy czytamy ST, np. dzieje patriarchów, Abrahama... Jakuba...mamy przykłady jakże wielkiej miłości i troski Boga wobec człowieka. Bo także na te czasy już pada ... nie tyle cień, ile raczej światło Krzyża.

Jednak nawet najwięksi patriarchowie nie byłiby w stanie zaleczyć tego rozdarcia, jakie dokonało się przez grzech, bo sami byli słabymi grzesznymi ludźmi – to tak jakby kazać mrówce załatać stumetrową dziurę. I oto przychodzi sam Syn Boży, przychodzi w ludzkim ciele, bo „gdyby nie był Bogiem, nie mógłby nas zbawić; gdyby nie był człowiekiem, nie mógłby cierpieć”.

My, ludzie, straszliwie narozrabialiśmy. Tak naprawdę przez nasze grzechy wszyscy okazujemy Panu Bogu tę samą nieufność i podejrzliwość, jaką okazali Mu pierwsi rodzice, Adam i Ewa. Przez każdy grzech mówimy niejako Panu Bogu: „Myślę, że zyskam, jeśli postąpię inaczej, więc dlaczego mi tego zakazujesz? Ty mnie ograniczasz, ciągle czegoś zabraniasz, a ja chcę być wolny”. Tak, grzeszymy, bo ludzimy się, że w ten sposób coś zyskamy, że będzie nam lepiej (ktoś słusznie zauważył, że najgłupszym grzechem jest zazdrość, bo to chyba jedyny grzech, który nie daje nam żadnej przyjemności).

Zatem skoro wszyscy okazaliśmy Bogu taką nieufność, kto z nas mógłby odbudować mosty zaufania? Wszyscy zgrzeszyliśmy, wszyscy zasłużyliśmy na karę, bo sami tak wybraliśmy. Tego wymagała sprawiedliwość. Co wobec tego zrobił Pan Bóg? Dość trafnie ilustruje to pewne wydarzenie z życia amerykańskiej rodziny.

Pewien ojciec kilkorga dzieci, wychodząc z domu, zostawił dzieciom surowy zakaz, zaznaczając, że jeśli będą nieposłuszne, pas „pójdzie w ruch”. Po powrocie zaraz przekonał się, że jego zakaz nie został uszanowany, więc sięgnął po pas, ale w tym momencie na twarzach dzieci zobaczył śmiertelne przerażenie. Co zrobić? Przecież jasno postawił warunki. Jeśli uda, że nic się nie stało, nauczy dzieci, że polecenia ojca można spokojnie lekceważyć. I wtedy przyszedł mu do głowy szalony pomysł. Wręczył pas jednemu z dzieci i oznajmił: każde z was ma uderzyć mnie pięć razy tym pasem. Dzieci zaczęły krzyczeć i płakać, ale tym razem ojciec był nieubłagany. Sprawiedliwości stało się zadość, a odtąd dzieci już nigdy nie łamały tak lekkomyślnie ojcowskich zakazów (trzeba przyznać, że były dużo bardziej inteligentne od nas).

Bóg jest równocześnie miłosierny i sprawiedliwy – nie tylko w tym sensie, że sprawiedliwie nagradza i karze, ale też jest miłosierny, bo sprawiedliwość wziął na siebie. Podstawowym powodem, dla którego śmierć Chrystusa jest dla nas tak szokująca, jest fakt, że nie rozumiemy powagi grzechu.

O. Cantalamessa pisze w jednej ze swoich książek, że my, grzeszni ludzie, nie potrafimy właściwie mówić o grzechu, bo w akcie samousprawiedliwienia zawsze pomniejszamy zło – i dodaje: „gdy ja mówię wam o grzechu, nie wierzcie mi, bo ja też jestem grzesznikiem i to, co wam powiem, nie będzie całą prawdą o grzechu”. My nie widzimy całej wielkości tego zła i dlatego wciąż nie rozumiemy potrzeby odkupienia. My ciągle chcielibyśmy powiedzieć: „w gruncie rzeczy nic takiego się nie stało”- tymczasem obraz Chrystusa ukrzyżowanego mówi nam, że stało się coś strasznego, skoro wymagało aż takich środków. Możemy, oczywiście, zadawać sobie pytanie, dlaczego akurat tak się stało, czy Bóg nie mógł nas zbawić w jakiś inny, mniej bolesny sposób. Ale czy wtedy zrozumielibyśmy, jak wielkim złem jest grzech, skoro potrzeba było aż takiego odkupienia? Możemy zadawać pytania, ale odpowiedź chyba przerasta możliwości naszych głów. Gdybyśmy rozumieli wszystko, byliśmyby mądrzy jak Pan Bóg, a już pierwsi rodzice przekonali się, że to nie jest możliwe.

Ale myślę, że można podać jeszcze jedną bardzo wyraźną odpowiedź: wybierając tę drogę naszego zbawienia, Bóg chciał nam pokazać, do jakich poświęceń jest zdolny, byleby tylko nas ocalić (przypowieść o dzierżawcach) *Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał...*

I znów: gdy mówimy o cierpieniu Chrystusa, musimy przede wszystkim odrzucić obraz rozgniewanego Ojca, który wyładowuje swój gniew na Synu. Nic z tych rzeczy! Skoro ludzkich rodziców boli cierpienie ich dzieci, jakże Ten, który jest Miłością, mógłby być obojętny na Mękę swojego ukochanego Syna (Wspomniany już o. R. Cantalamessa opowiada o pewnym zdarzeniu, które pomogło mu zrozumieć, co mógł odczuwać Ojciec w chwili męki Syna: gdy był dzieckiem, ojciec musiał zaprowadzić go do chirurga na bolesny zabieg. W chwili zabiegu ojciec odwrócił się plecami, zaciskając pięści, by nie widzieć cierpienia dziecka. Czy tym bardziej niebieski Ojciec mógł patrzeć obojętnie na straszliwe cierpienie Chrystusa? W filmie „Pasja” M. Gibsona w chwili śmierci Chrystusa z nieba spada kropla na ziemię: wielu komentatorów dostrzega w niej łzę Boga. Bóg wie, że męka Syna jest potrzebna, bo wyniknie z niej ogrom dobra, ale to nie znaczy, że to dobro nic nie kosztuje; taka jest cena miłości.

Z drugiej strony trzeba też odrzucić inny, bardzo upraszczający obraz, który pojawia się niekiedy także u współczesnych teologów: Bóg nie chciał śmierci Syna, Bóg posłał Syna na świat, a źli ludzie Go zabili. Według tej wizji śmierć Chrystusa byłaby jakby „nieprzewidzianym wypadkiem” – oczywiście chodzi tu o to, by „uwolnić Ojca od podejrzeń o okrucieństwo wobec Syna”. Ale takie myślenie jest zagłaskiwaniem Ewangelii. Gdyby śmierć Chrystusa była tylko wypadkiem, jeśli nie miałyby swojego miejsca w zbawczym planie, to jaki sens miałyby nasze cierpienie? Tymczasem zauważmy, że Jezus mówi o swojej Męce używając słów: „Musi się wypełnić Pismo”. Zatem przez całe dzieje zbawienia w dalekiej perspektywie przejawia się mniej lub bardziej czytelna zapowiedź krzyża: *On dźwigał nasze boleści, za grzechy mego ludu został zabity...*

Bóg chciał, żeby nieposłuszeństwo ludzi zostało – nie: zrównoważone, ale przeważone przez heroiczne posłuszeństwo Syna. A zatem śmierć Jezusa nie jest „niespodziewanym wypadkiem”, ale jest dobrowolnym darem z siebie: *mam moc oddać życie i mam moc je odzyskać*.

Autor Listu do Hebrajczyków dodaje jeszcze jeden ważny aspekt dotyczący męki Chrystusa jako ofiary: pisze on, że Chrystus złożył ofiarę *przez Ducha wiecznego (Hbr 9,14)*. Co to oznacza? Już św. Jan Chryzostom stwierdził, że Duch spełnił taką rolę, jaką pełnił ogień z nieba w dawnych ofiarach. Jezus składał swą ofiarę na ziemi, a Duch Święty sprawił, że ofiara wzniosła się ku Bogu.

W tym samym Liście (Hbr) znajduje się też niezwykle obraz Chrystusa – Arcykapłana, nawiązujący do obrzędów związanych z żydowskim Dniem Przebłagania – Jom Kippur. Był to jedyny dzień w roku, gdy Arcykapłan (wyłącznie on!) mógł wejść za zasłonę, do najważniejszej części świątyni jerozolimskiej – tzw. Miejsca Najświętszego, by pokropić przebłagalnię (pokrywę) arki przymierza krwią zwierząt ofiarnych.

Autor Hbr wskazuje, że teraz Chrystus – Arcykapłan dokonał doskonałego przebłagania: przez zasłonę swojego Ciała (człowieczeństwa) wszedł do najprawdziwszego Miejsca Świętego – do nieba, wnosząc tam własną Krew, a nie krew zwierząt. Chrystus uczynił też coś, co byłoby nie do pomyślenia w czasach ST: otworzył nam drogę, umożliwił nam wejście tam, gdzie On, Arcykapłan, wszedł jako pierwszy. *On nam zapoczątkował drogę nową i żywą przez zasłonę, to jest przez ciało swoje (10,19n)*

Zatem droga jest otwarta... bylebyśmy chcieli nią iść, bylebyśmy chcieli przyjąć łaskę zbawienia. Homilia paschalna z IV w. zawiera takie słowa: „Dla każdego człowieka początkiem życia jest ta chwila, w której Chrystus został za niego ofiarowany. Lecz Chrystus jest za niego ofiarowany wtedy, kiedy on uznaje łaskę i zyskuje świadomość życia, którego źródłem jest ta ofiara”.

Co znaczy przyjąć zbawienie, przyjąć ofiarę Chrystusa? Ktoś tak to wyraził: trzeba naprawdę odczuć własną sytuację jak sytuację Łazarza, który już martwy leży w zimnym grobie i nagle słyszy, jak ktoś z zewnątrz woła: Wyjdź!

Mówiliśmy dotąd o wydarzeniu Wielkiego Piątku; trzeba jednak też przenieść się do Wieczernika, by rozważyć tajemnicę Eucharystii, która antycypuje, a równocześnie „uwiecznia” ofiarę Chrystusa, umożliwiając nam udział w niej. Nie mogliśmy być na Golgocie, a jednak możemy stanąć wobec Krzyża; nie mogliśmy być wtedy w Jerozolimie, jedynym prawowitym miejscu składania ofiar, a jednak sakramentalnie możemy przenieść się tam, by uczestniczyć w ofierze Chrystusa. Dotąd więc było tylko jedno miejsce składania ofiar, a teraz ta jedna ofiara może być składana w każdym miejscu, nawet na szczytach gór, na morzu, w więzieniach... Pięknie pasują do tej rzeczywistości słowa Boże przekazane przez proroka Malachiasza:

Albowiem od wschodu słońca aż do jego zachodu wielkie będzie imię moje między narodami, a na każdym miejscu dar kadzielnny będzie składany imieniu memu i ofiara czysta (Ml 1,11).

Katechizm Kościoła Katolickiego ta wyraża jedność pomiędzy ofiarą eucharystyczną i krzyżową: **367 Ofiara Chrystusa i ofiara Eucharystii są jedną ofiarą. "Jedna i ta sama jest bowiem Hostia, ten sam ofiarujący - obecnie przez posługę kapłanów - który wówczas ofiarował siebie na krzyżu, a tylko sposób ofiarowania jest inny. A skoro w tej Boskiej ofierze, dokonującej się we Mszy świętej, jest obecny i w sposób bezkrwawy ofiarowany ten sam Chrystus, który na ołtarzu krzyża ofiarował samego siebie w sposób krwawy, ofiara ta jest naprawdę przebłagalna".**

Mówiąc o ofierze Chrystusa wspomnieliśmy o roli Ducha Świętego jako Ognia, który przeniósł tę ofiarę z ziemi do Ojca. Także Eucharystia dokonuje się mocą tego Ducha. Przed przeistoczeniem kapłan prosi Ojca, by zesłał Ducha Świętego na dary ofiarne – na chleb i wino: uświęć te dary mocą Ducha Świętego, aby stały się dla nas Ciałem i Krwią... Pamiętamy, co mówiliśmy o Eliaszu, który sprowadził ogień z nieba na ofiarę. Każdy kapłan ma moc większą od Eliasza: na słowa jego modlitwy nie tyle ogień z nieba, ale sam Duch Święty zstępuje na dary ofiarne. Zastanówmy się dobrze, w czym my uczestniczymy.

W obrządku chaldejskim przed przeistoczeniem diakon oznajmia: „Ta chwila budzi drzenie, bracia umiłowani, gdy Duch Święty zstępuje z niebios na tę ofiarę. Módlcie się stojąc z drzeniem serca i w milczeniu”.

Aby zrozumieć scenę ustanowienia Eucharystii, trzeba przenieść się do czasów Mojżesza, do momentu zawarcia przymierza pod Synajem. Mojżesz odczytuje ludowi Prawo dane przez Boga, lud obiecuje przestrzegać tych poleceń, a wtedy Mojżesz bierze krew zwierząt złożonych w ofierze i kropi nią ołtarz i lud, mówiąc: „Oto krew przymierza, które Pan zawarł z wami”. Przymierze bowiem to prawne braterstwo: oto jedna krew łączy Boga (ołtarz) i lud. Na razie jest to symboliczna krew zwierząt, ale w czasach Nowego przymierza tym, co połączy Boga z Jego ludem będzie Krew Jego Syna.

W wieczerniku jednak stajemy wobec innej sytuacji: tu nie ma tylko pokropienia krwią, ale jest braterski posiłek. Braterskie zjednoczenie zostaje wyrażone w możliwie najdoskonalszy sposób: *Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim.*

Teraz rozumiemy, jak potrzebna była Eucharystia, by lepiej zrozumieć tajemnicę Golgoty, gdzie wszystko dokona się w opuszczeniu, bo nawet najbliżsi będą mogli jedynie z pewnej odległości uczestniczyć w tych wydarzeniach.

Jezus antycypuje własną śmierć, przemieniając ją w ofiarę przymierza. Zazwyczaj gdy mówimy o przemianie dokonującej się w Eucharystii, mamy na myśli przemianę chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa, tymczasem (Vanhoye) dokonała się też inna nadzwyczajna przemiana: wydarzenie, które według ludzkiej logiki powinno być zerwaniem relacji (okrutna śmierć na drzewie hańby) stało się środkiem służącym zjednoczeniu ludzi z Bogiem i ludzi między sobą. Oto zwycięstwo miłości. Możemy więc powiedzieć, że podczas ostatniej wieczerzy zostaje jakby odwrócony sens śmierci: to, co było definitywnym zerwaniem, staje się momentem największego zjednoczenia. Dlatego też i my, przeżywając Eucharystię, uczymy się tego dynamizmu miłości, która wszystko przemienia.

Warto też zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt. Tę tajemnicę, która dokonała się w Wieczerniku, Kościół nazwał słowem: „Eucharystia” – dziękczynienie. Oczywiście, Eucharystia jest wielkim dziękczynieniem Kościoła za dzieło odkupienia, ale jak zauważa A. Vanhoye, jest też dziękczynieniem samego Jezusa, dość nietypowym dziękczynieniem. Pamiętamy zapewne te fragmenty psalmów, gdy udręczony psalmista prosi Boga o wyzwolenie, obiecując, że gdy zostanie ocalony, złoży Mu ofiarę dziękczynną. Tymczasem Jezus jeszcze przed wejściem w Misterium Paschalne, a więc przed swoim ostatecznym zwycięstwem, już niejako z góry składa Ojcu ofiarę dziękczynną. Tak bardzo jest pewny dobroci Ojca. Podobnie zachował się przy grobie Łazarza, gdzie powiedział: „Ojcze, dziękuję Ci, że Mnie wysłuchałeś!” – mówi „wysłuchałeś”, gdy martwy Łazarz jeszcze leży w grobie! Dziękuje przed zwycięstwem nad śmiercią Łazarza i dziękuje przed zwycięstwem nad własną śmiercią (Przekonałam się z doświadczenia, że najlepszym sposobem proszenia Pana Boga jest dziękczynienie – wtedy On zdaje się mówić: „Myślisz, że nie mogę dać jeszcze więcej?”). Jezus dziękuje w duchu postawy synowskiej: Syn otrzymuje wszystko od Ojca, więc przyjmuje z wdzięcznością otrzymane dary. Także teraz, w Wieczerniku Jezus dziękuje Ojcu za to, że może stać się Chlebem dającym życie. Zatem ofiara Jezusa jest równocześnie ofiarą dziękczynną i przebłagalną, najdoskonalszą ofiarą, nieskończenie przewyższającą wszystkie inne, bo tu Najwyższy Kapłan obmywa nas swoją Krwią, oddaje Ojcu za nas własne życie.

Pewien autor tak to ujął: „Zbierzcie razem krew wszystkich męczenników, przelaną we wszystkich wiekach dziejów ludzkości, zbierzcie razem całą świętość wszystkich świętych zamieszkujących niebo i ziemię, zbierzcie razem to wspaniałe uwielbienie, jakie wznosi się do Boga od miliardów aniołów otaczających Boży tron, a to wszystko nie zrównoważy tej czci i chwały, jaką odbiera Bóg w jednej tylko Eucharystii”.

Czy wobec tego można pod byle pozorem zwolnić się z udziału w Eucharystii? Czyż może nas zabraknąć, gdy On oddaje Ojcu za nas swoje życie? Czy można łatwo wytłumaczyć się z tego, że przeżywamy byle jak Jego Ofiarę? To jest przecież największy skarb Kościoła, największy skarb chrześcijańskiej niedzieli – Dnia Pańskiego. (Pewien dziennikarz napisał trafnie, jaka jest różnica między niedzielą – Dniem Pańskim a weekendem: ta, że nikt nie oddał życia za weekend, natomiast wielu męczenników przelało krew, nie chcąc zrezygnować z niedzielnej Eucharystii). Bo wystarczy zrozumieć (choć trochę), czym jest Eucharystia, by być gotowym za nią umrzeć.

Jezus w Eucharystii mówi nam: „daję siebie Ojcu, by stać się darem dla was”. Bo gdy Bóg przyjmuje czyjeś życie, czyni to zawsze po to, by rozdać je innym – a w tym przypadku rozdać bardzo dosłownie.

Bóg stał się pokarmem. Na krzyżu oddał swoje życie, abyśmy mieli życie, podobnie w Eucharystii karmi nas, bo pokarm jest konieczny do życia.

Można by też zadać paradoksalne pytania: co robi Jezus w Eucharystii? Przede wszystkim JEST – bo dobrze wiemy, także z relacji międzyludzkich, że często wcale nie chodzi nam o słowa drugiego człowieka, ale po prostu o to, by ktoś „był” przy nas; pragniemy czyjejś obecności, która się nie narzuca, nie zasypuje gradem pustych słów pocieszenia, ale słucha, kocha, przyjmuje...

Jezus przychodzi do każdego, kto podejdzie do Jego Stołu. Pewien kapłan powiedział, że nieraz wzdryga się, gdy rozdaje Komunię św. swoim parafianom, bo zna tych ludzi... wie, komu daje Jezusa... to jest ten sam Jezus, który kiedyś przychodził do celników i grzeszników.

I jeszcze jedna z bardzo wielu możliwych uwag na temat Eucharystii: Jezus zawsze przychodzi na wołanie Kościoła. Zawsze przychodzi, gdy kapłan wypowiada przy ołtarzu słowa konsekracji. Kiedyś, gdy byłam we Francji, miałam uczestniczyć jako „jedyne przedstawiciel ludu wiernego” we Mszy św. odprawianej przez polskiego księdza. Gdy zapytałam go o godzinę, usłyszałam: „A kiedy pani sobie życzy?” Zdziwiłam się nad tą tajemnicą: Jezus uobecni ofiarę Krzyża, ofiaruje się Ojcu za świat o tej godzinie, którą ja wybiorę według mojego uznania! Podczas Mszy św. śpiewaliśmy: „Bóg w nasze ręce złożył Ciało swe”. Uczynił to naprawdę, z wszystkimi konsekwencjami.

NASZA OFIARA

Temat Eucharystii pięknie łączy nasze poprzednie rozważania o ofierze Chrystusa z dzisiejszym tematem – ofiary Kościoła, rozumianej zarówno w sensie eucharystycznym, jak i naszej osobistej ofiary składanej Bogu.

Bowiem Jezus ofiaruje siebie Ojcu, ale zarazem daje też nam niezwykłą możliwość dołożenia własnej ofiary.

O. R. Cantalamessa użył kiedyś pięknego obrazu: wyobraźmy sobie pracownika, który bardzo cenił swojego kierownika i na imieniny kupił mu bardzo drogi prezent. Pomyślał jednak, że kierownik ucieszyłby się jeszcze bardziej, gdyby to był dar od wszystkich pracowników, więc zebrał od wszystkich podpisy (może niektórzy „dołożyli choć parę groszy...”). Zatem dyrektor otrzyma dar od wszystkich, ale ktoś jeden zapłacił najwyższą cenę. Podobnie Jezus chce „zebrać nasze podpisy” i nasze małe ofiary, by zanieść to Ojcu w Eucharystii.

O. Raniero opowiadał również, że dawniej, gdy odprawiał Mszę św., podczas słów konsekracji zamykał oczy, by lepiej się skupić. Potem jednak zrozumiał, że to błąd. Zrozumiał, że także on powinien spojrzeć na ludzi, którzy są przed nim i powiedzieć im także we własnym imieniu te słowa Chrystusa: „Bierzcie i jedzcie, oddaję wam siebie, bierzcie!”

Jak mówi św. Augustyn, „Kościół ofiaruje się w Tym, którego składa w ofierze”. Pewien autor wkłada w usta św. Dominika taką modlitwę: *Ja się jak żertwa kładę na patenie przy Tobie Chryste, na całopalenie*. I wcale nie o to chodzi, by zaraz po wyjściu z kościoła zginąć śmiercią męczeńską, ale by nauczyć się, że skoro jesteśmy przez chrzest złączeni z Chrystusem, trzeba, byśmy żyli zgodnie z Jego logiką - logiką daru z siebie. To jest ta logika, którą wyraził JP II w swoim „Totus Tuus”.

Także soborowa Konstytucja o Liturgii stwierdza, że „Kościół bardzo troszczy się o to, by chrześcijanie podczas tego misterium wiary nie byli obecni jak obcy i milczący widzowie, a ofiarując niepokalaną hostię nie tylko przez ręce kapłana, lecz także razem z nim, uczyli się samych siebie składać w ofierze” (KL 48)

Słyszałam kiedyś takie zdanie: „Jeśli nasze życie nie staje się Eucharystią, to znaczy, że nasze przeżywanie Eucharystii jest bez życia”. Bo który moment może być lepszy na oddanie siebie, niż ten, gdy Jezus oddaje siebie dla nas?

Św. Paweł wyraził to tymi pięknymi słowami (choć nie mówi tu o Eucharystii):

Miłość Chrystusa przynagla nas, pomnych na to, że skoro Jeden umarł za wszystkich, to wszyscy pomarli. A właśnie za wszystkich umarł <Chrystus> po to, aby ci, co żyją, już nie żyli dla siebie, lecz dla Tego, który za nich umarł i zmartwychwstał (2 Kor 5)

I wcale nie chodzi o to, by spełniać heroiczne czyny, ale by konsekwentnie realizować to, co stało się w chwili naszego chrztu: zostaliśmy oddani Bogu, staliśmy się Jego własnością. Kiedyś nasi rodzice przynieśli nas do chrztu. My wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy ze znaczenia tego, co się tam dokonało, może też nasi rodzice nie mieli pełnej świadomości, jak wielkie rzeczy dzieją się na ich oczach, ale nadszedł wreszcie czas, że możemy powiedzieć świadomie i z pełnym przekonaniem: Panie Boże, ofiaruję się Tobie, by żyć dla Ciebie.

Wbrew pozorom czasem to wcale nie jest łatwiejsze od gotowości na męczeństwo: takie życie wymaga nieustannych wyborów. Pamiętamy, co mówiliśmy o zniszczeniu ofiary – że zniszczenie gwarantuje nieodwołalność daru. Tutaj natomiast zawsze grozi nam niebezpieczeństwo cofnięcia wcześniejszej decyzji czy też pewnej próby lawirowania (pewien ksiądz opowiadał tak: Gdy byłem dzieckiem, nauczono mnie modlitwy: Panie Jezu, wszystko dla Ciebie! Gdy dorosłem, zmodyfikowałem tę modlitwę: Panie Jezu, umówmy się: trochę dla Ciebie, trochę dla mnie”. Oczywiście, ta modyfikacja nie nastąpiła w słowach, ale w życiu. Panu Bogu świeczkę... Jak ktoś powiedział: „Oddajemy się Bogu hurtem, a odbieramy się w detalu”.

R. Cantalamessa: „Wszystko, cokolwiek człowiek zachowuje dla siebie, jest zmarnowane, ponieważ posiada się jedynie to, co się dało. To, co ktoś zachowuje dla siebie, by zachować margines wolności przed Bogiem, zanieczyszcza wszystko. To jest właśnie ta cienka nitka, która – jak mówi św. Jan od Krzyża, nie pozwala ptakowi latać. Skąd jednak zebrać taką siłę do całkowitej ofiary z siebie? Odpowiedzią jest Duch Święty. On jest u początku każdej decyzji złożenia siebie w ofierze. On jest „Darem”, albo jeszcze lepiej daniem się Ojca Synowi i Syna Ojcu; w historii jest daniem się Boga nam i teraz nas Bogu”.

Trzeba to dobrze zrozumieć: nie tylko to, że wszystko, co nie jest oddane, jest zmarnowane, ale też że to oddanie naprawdę się „opłaca”.

Słyszałam opowiadanie o żebraku siedzącym przy drodze. Każdego dnia oczekiwał na bogatego pana, który zawsze wysiadał ze swojej karety i dawał mu pieniądze. Pewnego dnia pan wysiadł z karety, ale zamiast otworzyć sakiewkę, zapytał: „A co ty mi dasz?” Żebrak popatrzył z niedowierzaniem i rozczarowaniem, a następnie wyjął z woreczka jedno ziarenko ryżu i podał panu. Pan potrzymał ziarenko w dłoni, a następnie wrzucił je do woreczka i odjechał. Żebrak zagłąda do woreczka... a oto widzi, że to jedno ziarenko stało się złote. I zawołał: „Dlaczego nie oddałem panu całego woreczka!”

Oto jakże częsta nasza postawa wobec Boga: zachowujemy jak najwięcej dla siebie, nie wiedząc, że to staje się „złotem”, co jest uczynione z Nim i dla Niego.

O tych ofiarach, które Vanhoye nazywa ofiarami egzystencjalnymi, wiele razy mówią autorzy NT, tym bardziej, że po zburzeniu świątyni jerozolimskiej przestało istnieć jedyne prawowite miejsce składania ofiar, ponadto sam Jezus dał przykład życia (i śmierci) jako całkowitego daru dla Ojca. Św. Paweł napisze te słynne słowa:

Proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście dali ciała swoje na ofiarę żywą, świętą, Bogu przyjemną, jako wyraz waszej rozumnej służby Bożej. Nie bierzcie więc wzoru z tego świata, lecz przemieniajcie się przez odnawianie umysłu, abyście umieli rozpoznać, jaka jest wola Boża: co jest dobre, co Bogu przyjemne i co doskonałe (Rz 12,1)

Paweł używa paradoksalnych słów mówi o krwawej żertwie (thysia) - ofiara zabita, ale tu równocześnie – żywa ofiara – zatem wymaganie stałego umierania sobie, mówienia „nie”, gdy nasz egoizm, wygodnictwo chciałby zdominować to, co lepsze, co podpowiada nam sumienie.

Pierwsze pytanie związane z kwestią ofiary z siebie: gdzie widzę wzór, projekt dla mojego życia? Nie bierzcie wzoru z tego świata, ale przemieniajcie się, byście umieli rozpoznać wolę Bożą – bo ona nie zawsze jest oczywista, łatwa do odczytania; trzeba mieć odnowione, czyste serce!

Zatem to ofiarowanie siebie oznacza w pierwszym rzędzie dostosowanie swojej woli do woli Boga – przytoczyliśmy wcześniej słowa Jezusa: *Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba.*

Każdy dzień przynosi tyle okazji do tych maleńkich duchowych ofiar – do rezygnacji z własnej wygody, by komuś pomóc, do oddania własnego czasu na modlitwę... I w ten sposób również dzięki tym naszym małym ofiarom realizuje się to, co nazywamy powszechnym kapłaństwem wiernych. Ono realizuje się nie tylko w świątyni, ale też w tej – jak ktoś pięknie powiedział – liturgii codziennego życia z Chrystusem.

Gdybyśmy zebrali teksty biblijne mówiące o konkretnych przejawach takiego stylu życia, można by wyróżnić trzy ich grupy:

- uwielbienie Boga (w tym także modlitwa wstawiennicza)
- uczynki miłosierdzia
- wszelkie ofiary duchowe aż po męczeństwo.

Autor Hbr w jednym zdaniu łączy dwa pierwsze zagadnienia:

Przez Niego więc składajmy Bogu ofiarę czci ustawicznie, to jest owoc warg, które wyznają Jego imię. Nie zapominajcie o dobroczynności i wzajemnej więzi, gdyż cieszy się Bóg takimi ofiarami. (Hbr 13,15n)

Zwracam uwagę, że jest to jeden z bardzo rzadkich tekstów mówiących o radości Boga. Nie wiem, jak często Pan Bóg ma powody do radości, ale Pismo Święte mówi o tym bardzo rzadko. Jak widzimy, autor nazywa też ofiarą dobroczynność.

To ciekawe, że św. Paweł, taki wielki mistyk, nie zawaha się nazwać słowami typowymi dla kultu ofiarniczego... pomocy materialnej ofiarowanej jemu samemu, a wcześniej też ubogim Kościoła w Jerozolimie. Gdy Epafrodyt przywiezie uwięzionemu Pawłowi wsparcie finansowe od Filipian, on napisze do nich: *Stwierdzam, że wszystko mam, i to w obfитоści: jestem w całej pełni zaopatrzony, otrzymawszy przez Epafrodyta od was wdzięczną woń, ofiarę przyjemną, miłą Bogu. (Flp 4,18)*

To nic nie szkodzi, że chodzi o przyziemne pieniądze, dla miłości nie ma spraw przyziemnych. Ofiarą miłą Bogu jest również to, że ubodzy Filipianie zrezygnowali ze swoich dóbr, by pomóc Apostołowi.

Sam św. Paweł ukazuje też siebie jako kapłana ofiarującego Bogu tych, których nawrócił, a gdy stanie wobec perspektywy męczeńskiej śmierci, nazwie swoją śmierć ofiarą złożoną Bogu.

*Jestem z urzędu służą Chrystusa Jezusa wobec pogan sprawującym świętą czynność głoszenia Ewangelii Bożej po to, by **poganie stali się ofiarą Bogu przyjemną, uświęconą Duchem Świętym** (Rz 15,16)*

A jeśli nawet krew moja (dosł: ja) ma być wylana przy ofiarniczej posłudze około waszej wiary, cieszę się i dzielę radość z wami wszystkimi: Flp 2,17. Podobnie 2 Tm 4,6: Albowiem krew moja już ma być wylana na ofiarę, a chwila mojej rozłąki nadeszła.

Ofiarą miłą Bogu może być modlitwa, braterska pomoc... wszystko, nawet śmierć. Ale nie obawiamy się, że Bóg zaraz jej od nas zażąda, do męczeństwa trzeba dojrzeć, a On zna nasze możliwości.

Podsumujmy nasze rozważania o ofierze życia przepięknym tekstem z 1 P:

Zbliżając się do Tego, który jest żywym kamieniem, odrzuconym wprawdzie przez ludzi, ale u Boga wybranym i drogocennym, wy również, niby żywe kamienie, jesteście budowani jako duchowa świątynia (dosłownie: duchowy dom), by stanowić święte kapłaństwo, dla składania duchowych ofiar, przyjemnych Bogu przez Jezusa Chrystusa (1 P 2,4-5)

Jak podkreślają komentatorzy, mówiąc o wiernych jako o kamieniach Piotr wskazuje na ich jedność: mieszkaniem domu może opuścić dom, ale kamienie są złączone ze sobą w sposób definitywny: brak nawet jednego kamienia to uszczerbek dla całej budowli. Zatem jesteśmy ściśle złączeni i z Chrystusem i pomiędzy sobą. ofiary duchowe – to nie znaczy „umysłowe”, ale o ofiarę z własnego życia pod wpływem działania Ducha Świętego. „Ofiary duchowe” nie oznacza niekonkretne, ograniczające się do intencji i pobożnych myśli. W kulturze semickiej „duchowe” nie jest przeciwieństwem „materialnego”, ale wskazuje na siłę i dynamizm działania Ducha. Duch uczy nas kapłaństwa wiernych, uczy nas składania ofiar, które wcale nie są mniej konkretne od ofiar ST. Dom, w którym kapłani składają ofiary, jest świątynią. Dlaczego więc autor mówi o domu? Otóż 1 P kładzie silny nacisk na pojęcie Kościoła jako rodziny, jako domowników jednego domu (pewien autor zatytułował swoją książkę o tym liście „Dom dla bezdomnych”). Ten fragment mówi o kapłaństwie powszechnym, o kapłaństwie wszystkich wierzących na mocy chrztu. Wierni mają stanowić święte kapłaństwo, a to wymaga świętości życia. teraz bowiem cały lud Boży może zbliżyć się do Boga, co dawniej, w czasach ST, było zastrzeżone dla kapłanów i dlatego wymagało od nich szczególnej troski o rytualną czystość i o osobistą świętość.

Ofiary mają być miłe Bogu – w tym celu musi spełniać pewne warunki: postępowanie tego, kto się ofiaruje, musi spełniać najwyższe wymogi moralnej świętości, musi podobać się Bogu, to nie może być byle co.

Całe życie chrześcijańskie – modlitwa, działalność apostołska i dobroczynna, aż po męczeństwo, może stać się nieustanną liturgią (M. Robin – moje życie jest nieustanną Mszą). Te ofiary są miłe Bogu, bo są ofiarowane przez Chrystusa, dlatego jest zapewnione ich przyjęcie.

Pamiętamy, jak starożytni podejmowali starania, by ich ofiara była miła Bogu, by była nieskalana. Nasze osobiste dary, jak mówiliśmy, często są skażone egoizmem, interesownością... ale jest jedna ofiara, gdzie możemy być absolutnie pewni, że jest miła Bogu – to ofiara Chrystusa. Dlatego my jakby dołączamy do niej własny dar: prosimy – „Przyjmij nas, Panie, stojących przed Tobą”, a następnie zachęceni przez kapłana prosimy: „Niech Pan przyjmie ofiarę z rąk Twoich” – nieskalaną ofiarę Chrystusa i to wszystko, co my dołożyliśmy na patenę – nasze radości, trudy...

Każdego dnia możemy składać Ojcu coraz piękniejszy dar, coraz bardziej bezinteresowny i przeniknięty miłością – bo przecież jest Ktoś, kto nam w tym pomaga, ten Ogień z nieba, Duch Święty, który uzdalnia nas do prawdziwej miłości zdolnej do daru z siebie, gdyż największą przeszkodą w ofiarowaniu siebie jest brak miłości, stąd tak potrzeba nam Ducha – Ognia, by rozpałił nas swoją miłością i przeniósł naszą ofiarę przed oblicze Boga.

I to dlatego Kościół wypowiada o Duchu Świętym tę piękną prośbę do Ojca: „Niech On nas uczyni wiecznym darem dla Ciebie” – aby nasze życie nie okazało się egoistyczną pomyłką, ale wielką odpowiedzią na Twoją miłość.

Na początku naszych rozważań przytoczyliśmy pytanie psalmisty: *Cóż oddam Panu za wszystko, co mi wyświadczył? Cóż oddam Panu, który oddał mi siebie, który oddał za mnie swoje życie? Jeśli sobie dobrze to uświadomimy, może uznamy za swoje słowa, które skierowała do Boga pewna włoska mistyczka: Nie chcę ani nie umiem już uczynić nic innego, jak tylko oddać się Tobie jako nieodwołalny dar (M.C. Crostarosa). Po prostu, jako naturalna kolej rzeczy.*